

BIBLIOTEKA JAKO PLACÓWKA KULTURY, EDUKACJI I INFORMACJI

dr Artur Paszko (Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie)

Opublikowano 29.11.2004

Temat postawiony w tytule niniejszego tekstu prowokuje. Daje bowiem autorowi pełną swobodę wypowiedzi. Zazwyczaj jednak, w takich przypadkach, dobrze widziane jest trzymanie się środowiskowo przyjętego kanonu - używanie pojęć powszechnie przez wszystkich akceptowanych, powoływanie się na powszechnie znaną literaturę itp. Myślę jednak, że organizatorzy konferencji, na którą przygotowałem niniejszy tekst, nie takie postawili mi zadanie. Że właściwe pytanie, na jakie winieniem dać odpowiedź, to pytanie o moją wizję biblioteki. Proszę mi wybaczyć. Chciałbym uniknąć jednoznacznej odpowiedzi w tym względzie. Moja wizja biblioteki jako takiej i biblioteki, którą zarządzam rodzi się codziennie, kiedy wstaję rano i codziennie jest nieco inna. Niestety - ledwie nadążam za zmieniającym się w szaleńczym tempie światem, a biblioteka, by przetrwać, musi oprzeć się mojemu dążeniu do permanentnych zmian. Ja, świat i biblioteka musimy ugodzić się - pójść na kompromis. Nie ma bowiem na tym niedoskonałym świecie bytów idealnych.

Zamiast pisać o swojej wizji biblioteki chciałbym podzielić się z Państwem garścią refleksji na temat biblioteki publicznej jako takiej. Powiedzieć o tym, o czym mówimy często, choć chyba jednak nadal zbyt rzadko. Świadczy o tym fakt, jak bardzo ciągle jesteśmy niezadowoleni ze stanu naszego bibliotekarstwa. Proszę mi więc wybaczyć wszystkie uproszczenia i oczywistości.

Przyczynkiem do moich dzisiejszych rozważań chciałbym uczynić dwa ważne elementy wizji biblioteki, jakie najczęściej odnajdujemy w literaturze i które zasadniczo przebijają z tonu wypowiedzi bibliotekarzy. Po pierwsze chciałbym zwrócić Państwa uwagę na powszechne w środowisku bibliotekarskim przekonanie, że biblioteka jest miejscem dialogu. Po drugie zaś chciałbym wskazać na "dziedzictwo", jako termin konstytuujący nasze myślenie o bibliotece - depozytariuszu tych, którzy już umarli, albo umrą w przyszłości. Z kim więc prowadzimy rozmowę "w bibliotece"? A może z kim rozmawiamy "za pośrednictwem biblioteki", bo przecież o rozmowie w zaciszu czytelni mowy być nie może? Z kim się spieramy i o co? Czy w ogóle się spieramy? A może przytakujemy tylko w obliczu mądrości sączonej z wysokości katedr? Jak tu dyskutować z "dziedzictwem"? Jak się z nim spierać? Dziedzictwo można przyjąć, albo je odrzucić. Można próbować od niego uciec. Ale dyskutować z nim, prowadzić dialog... - doprawdy nie sposób.

Myślenie o bibliotece, jako "miejscu dialogu z dziedzictwem" stanowi piękną, poetycką wizję biblioteki. Taką chcemy ją widzieć. Chcemy, by nasze biblioteki były czymś znacznie więcej, niż być powinny. Biblioteka jako medium dziejów? Owszem, ale nie w tym znaczeniu, jakie odnajdujemy w słowie "dialog". Właściwym terminem, albo raczej terminami będą tu:

- wiedza,
- marzenia,
- informacja,
- nauka
- i inne im podobne.

Spróbujmy spojrzeć na bibliotekę z dystansu. Spróbujmy odizolować się od teorii i wizji. Ale nie alienujemy się od rzeczywistości. "Zwróćmy się z powrotem do rzeczy jako takiej, rzeczy samej w sobie". Zapytajmy siebie samych raz jeszcze: jak biblioteka istnieje? Co ją konstytuuje? Czemu winna służyć? Zapytajmy samych siebie, ale zarazem zdajmy sobie sprawę z jakości otaczającego nas świata. Znajdźmy pomost między nami, biblioteką i realiami - dniem dzisiejszym i tym co nas czeka, a co zależy w znacznej mierze od nas, od bibliotekarzy.

Czego więc trzeba żeby zaistniała biblioteka. Tylko, a może aż trzech elementów:

- czytelników,

- zbiorów,
i
- bibliotekarzy.

Każdy z tych elementów może istnieć osobno, ale biblioteka bez któregośkolwiek z nich nie istnieje. Można być czytelnikiem nie korzystającym z biblioteki. Zbiory mogą spoczywać w magazynach, zaś o bezrobotnego bibliotekarza łatwiej dzisiaj chyba nawet, niż o zapalonego czytelnika nie korzystającego z bibliotek.

Niewątpliwie najważniejszym elementem systemu jest czytelnik. Gdyby go nie było biblioteki nie miałyby sensu. Istnieją po to, by zaspokajać potrzeby czytelnicze i informacyjne użytkowników. Podstawowym więc pytaniem dla każdego bibliotekarza winno być: "czego oczekuje ode mnie czytelnik?". Modne ostatnio, aczkolwiek rugowane, określanie go mianem "klient" jest w tym kontekście w pełni uzasadnione. Do biblioteki przychodzi bowiem osoba, która ma zamiar uzyskać pewną usługę. Chce być obsłużona sprawnie, w dobrej atmosferze i ma do tego prawo, gdyż jako podatnik zapłaciła za możliwość skorzystania z usług biblioteki.

Jeśli zgodzą się Państwo ze mną, że czytelnik - klient przychodzi do biblioteki nie po to, by dialogować z dziedzictwem, ale po to, by skorzystać z oferowanych przez nią usług, to postaramy się odpowiedzieć na kolejne, tak fundamentalne, jak banalne pytanie o rodzaj tych usług. Innymi słowy: "po co czytelnik przychodzi do biblioteki?".

Odpowiedź jest równie banalna jak pytanie. Przychodzi po:

- wiedzę (np. uczeń, student, badacz itp.),
- informację (np. biznesmen, dziennikarz, majsterkowicz, hobbista itp.),
- marzenia,
- emocje,
- rozrywkę,
- i wszystko to, co może zaoferować mu biblioteka (choćby możliwość w miarę taniego udziału w społeczności Internautów).

Nasz klient przychodzi do nas po konkretną usługę. Nie oznacza to, że nie możemy zaproponować mu czegoś więcej. Jak każdy dobry sprzedawca, bibliotekarz, w swoim dobrze rozumianym interesie, winien "sprzedać" klientowi - czytelnikowi coś jeszcze. Co i po co? Właśnie... W tym miejscu pojawiają się dwa niezwykle istotne zagadnienia rodem z egzotycznej jeszcze nieco dziedziny, o której to wszyscy mówią, ale mało kto wie czym ona naprawdę jest - marketingu. Bo niby wszyscy znamy prawdę, że to reklama jest dźwignią handlu, ale jakoś nie potrafimy, albo nie chcemy, zastosować tego myślenia do bibliotek.

Czy w Mc Donalds'ach kupuje się hamburgery? Nie sądzę. Kosztują dużo, a smakują podle. Dla tego typu jedzenia w tej cenie nikt by tam nie przyszedł. W Mc Donalds'ach sprzedaje się marzenia o szczęśliwym dzieciństwie, o doskonale rozumiejącej się rodzinie, o wspaniałych przygodach, które są przecież w zasięgu ręki. Im dalej od USA, tym częściej w Mc Donalds'ach sprzedaje się sen o Ameryce.

Przykładów tego typu mógłbym mnożyć w nieskończoność. Nie w tym jednak rzecz. Zresztą wszyscy doskonale je znamy. Problem w tym, co i po co winniśmy sprzedawać w bibliotekach. Oczywiście poza naszymi zbiorami, bo to, że ich wypożyczanie stanowi namacalny sens naszego istnienia nie ulega wątpliwości.

Wbrew pozorom powyższe pytanie nie jest wcale pytaniem banalnym. Tak naprawdę rzetelna odpowiedź na nie wymagałaby rozważań, a nawet dialogu, czy szerokiej debaty na temat misji bibliotekarstwa publicznego w Polsce na początku XXI wieku. Jako że nie miejsce i czas na taką debatę, spłaszczę problem do granic możliwości i rozwiążę go na płaszczyźnie czysto użytecznej. A na tym poziomie odpowiedź jest w zasadzie jedna - powinniśmy sprzedawać kulturę. Czytelnictwo,

książka - jest bowiem integralną częścią kultury i jedynie ten, kto uczestniczy w kulturze - czyta. Nie znam wyników badań dotyczących czytelnictwa osób uczęszczających do teatru częściej niż raz w roku, ale jestem przekonany, że czytają one więcej niż te, które ograniczają swoje życie kulturalne do "Mody na sukces". Znam osoby z jednej i z drugiej kategorii, więc wydaje mi się, że wniosek nie jest całkiem chybyony.

Tak więc w naszym własnym interesie leży, by biblioteka była tętniącym życiem centrum kultury. Musimy porzucić ideę świątyni dumania, choć nie możemy zarazem uczynić z bibliotek pstrokatego jarmarku. Odpowiedź na pytanie co, jak i gdzie prezentować w bibliotece wymaga znajomości czytelników, ich potrzeb, zwyczajów i niedostatków... Wymaga też świadomości celu, jakiemu służy wszystko to, co uatrakcyjnić ma ofertę biblioteki.

Jeśli więc założymy, tak dla przykładu, że jedną z większych grup naszych klientów są uczniowie, którzy przychodzą do biblioteki, by wypożyczyć lektury lub najlepiej ich omówienia, jeśli przypomnimy sobie, że są to często czytelnicy oporni, dla których czytanie w dobie Internetu stanowi synonim ciemnogrodu, do odwiedzania którego zmusza ich system, który z definicji odrzucają, to... No właśnie, to powinniśmy zaoferować im coś, co przykuje ich uwagę, rozbudzi zainteresowanie, skłoni do poszukiwań. Co to takiego? Wiem i nie wiem. Pomysłów może być tysiące. Jeden okazał się strzałem w dziesiątkę - inny piękną, acz bolesną katastrofą. Warto jednak próbować. Co najważniejsze warto próbować często. Jedna próba to stanowczo za mało. Czytelnik, zwłaszcza ten młody, lubi środowiska charakteryzujące się dynamiką. W dobie sms-ów komunikaty muszą być krótkie, ale częste. Jeśli nie obrazimy się na tę rzeczywistość, będziemy mogli ją zmienić. Człowiekowi poszukującemu przestają wystarczać skrótownice, piktogramy i emotikony!!! Jest szansa, że sięgnie po książkę, a wtedy... No właśnie - wtedy już jest nasz.

Każdy czytelnik jest inny. Tak samo, jak nie znajdziemy dwóch takich samych osób, nie znajdziemy dwóch takich samych czytelników. Do każdego czytelnika musimy więc w swojej codziennej pracy podchodzić indywidualnie. Nie wyklucza to możliwości zastosowania zasad i modeli. Są one nieodzowne, bo ułatwiają pracę, choć sądzę, że ich ortodoksyjne stosowanie może nam bardziej przeszkadzać, niż pomagać. Bardziej, niż w codziennej pracy z czytelnikiem, modele przydatne są w planowaniu pracy biblioteki i w projektowaniu działalności okołobibliotecznej. Dla przykładu: nie przygotowujemy wystawy dla jednego, konkretnego czytelnika. Raczej określimy grupę docelową bazując na empirycznie sprawdzalnej wiedzy dotyczącej jego zainteresowań i preferencji. Wybór grupy docelowej, to już działanie strategiczne. Nie robimy przecież wystawy tylko dlatego, że trzeba zrobić cokolwiek, czujemy taką potrzebę, chcemy zmanifestować własne zainteresowania. Działalność dodatkową prowadzimy, by:

- przyciągnąć uwagę czytelników, skłonić ich do refleksji i własnych poszukiwań, do działań, dla których wykonania niezbędne będzie pośrednictwo słowa pisanego (co często oznaczać będzie także - pośrednictwo biblioteki);
- zwrócić uwagę opinii publicznej (bezpośrednio lub za pośrednictwem mediów) na bibliotekę, jako instytucję kultury, w której dzieją się ciekawe rzeczy - być może w ogóle zmanifestować fakt jej istnienia;
- przykuć uwagę decydentów - przedstawicieli władz i administracji samorządowej, którzy jeśli nawet nie doceniają roli, jaką biblioteka pełni dla społeczności lokalnej, spojrzą na jej potrzeby z większą życzliwością, jeśli uznają, że dzieją się w niej rzeczy ciekawe, bądź dojdą do wniosku, że podkreślenie faktu ich obecności w życiu biblioteki (co często przecież ogranicza się do obecności na wernisażach) zostanie dostrzeżone przez znaczną grupę wyborców; itp.

Nie bagatelizując roli biblioteki, jako miejsca realizacji wielorakich projektów kulturalnych, wróćmy jednak do naszej działalności podstawowej, bo żadna wystawa, spotkanie, debata,

happening nie zastąpi tego, co w bibliotece - oczywiście po czytelniku - najważniejsze: zbiorów. A z tymi przecież bywa różnie...

Zbiory, to:

- zasoby,
- sposób ich zorganizowania,
- metody udostępniania.

Przepraszam za tę niefachową definicję. Na wstępie już wspomniałem, że nie będę trzymał się definicji. Zazwyczaj tworzę je sam, tak, by móc ich używać w określonych sytuacjach. Dlatego, na potrzeby tego tekstu, uznajmy, że jest ona do przyjęcia.

Wspomniałem też, że czytelnicy nie przychodzą do biblioteki po książki, czy poczytać. Przychodzą po wiedzę, marzenia, emocje, informacje itp. Sprawą drugorzędną jest za pośrednictwem jakich środków osiągną swój cel. Czy będzie to książka, czasopismo, e-book, płyta CD - z punktu widzenia czytelnika to kwestia drugorzędna. Drugorzędna - co nie znaczy, że nie istotna!!! Czytelnicy mają bowiem preferencje nie tylko co do treści, ale i formy, w jakiej szukana treść jest zawarta. Trudno oczekiwać od emeryta, który traktuje komputer, jak niezrozumiałe zjawisko, by chciał przepisów prawnych dotyczących waloryzacji rent i emerytur szukać w LEXie. Zapyta o ustawę i oczekiwał będzie "Dziennika Ustaw". Jeśli go nie dostanie, nie warto sadzać go przed monitorem komputera. Należy wręczyć mu odpowiedni wydruk. Niby rzecz oczywista, niby... W pogoni za nowoczesnością często zapominamy o tych, którzy nie chcą lub nie potrafią za nią gnać. Przy nich też trzeba się zatrzymać, dostosować do ich tempa.

Kwestią o jeszcze większym znaczeniu jest aktualność zbiorów. Przy okazji wiosennego zakupu uzupełniającego nowości wydawniczych dla bibliotek publicznych z terenu województwa małopolskiego dziennikarze, dzięki pani dyrektor Annie Wiśniewskiej zrozumieli, że biblioteka żyje, jeśli ma nowości. Stwierdzenie to stało się leitmotywem kilku artykułów prasowych i tak mocno zapadło w świadomości niektórych decydentów, że nasza sytuacja w tym względzie zmieniła się w tym roku diametralnie. Nagle okazało się, że można znaleźć środki na zakup nowości! Fakt ten potwierdza prawdziwość tezy, że bez marketingu, także tego politycznego, dzisiejszym bibliotekom nie będzie łatwo.

Ale marketing to nie wszystko. By wykorzystać zmieniający się ostatnio - na lepsze - klimat wokół bibliotek (mam tu na myśli przede wszystkim politykę Ministerstwa Kultury) trzeba posiadać nowe umiejętności skutecznego aplikowania o środki na zakup nowości i działalność biblioteczną, przez co rozumiem także niezbędne inwestycje. Tak więc z jednej strony trzeba służyć do opinii publicznej informacje o roli, jaką biblioteka publiczna pełni na rzecz społeczności lokalnych, z drugiej - organizować się w ośrodki nacisku politycznego, z trzeciej - doskonalić umiejętności pozyskiwania środków finansowych, z czwartej zaś - nauczyć się kupować to, czego naprawdę potrzebują nasi czytelnicy.

Polityka gromadzenia zbiorów to zadanie zawsze trudne. W sytuacji, gdy mamy niewiele środków na zakupy, sztuką jest wybrać to, co najpotrzebniejsze. W sytuacji, gdy jest ich pod dostatkiem, wobec nieubłaganej logiki ustawy o finansach publicznych, konieczna jest rzetelna wiedza o rozpiętości zainteresowań i potrzeb informacyjnych naszych klientów. Czy posiadamy tę wiedzę? Wydaje nam się, że tak, bo przecież na co dzień obcujemy z czytelnikami, którzy niejednokrotnie głośno i zdecydowanie wyrażają swoje oczekiwania. Tym niemniej jednak nie poprzestawałbym na tej wiedzy. Nie poprzestawałbym też na analizie statystyk i powszechnie dostępnych wyników badań. Biblioteka służy określonej społeczności. Każda społeczność ma swoją specyfikę. Idą za tym specjalne oczekiwania. Musimy więc nie tylko słuchać swoich czytelników, ale też wsłuchać się w głos tych, którzy omijają biblioteki. Być może ich absencja spowodowana jest właśnie naszą nieumiejętnością odpowiedzi na ich zapotrzebowanie.

Mówiłem o sytuacji, gdy mamy środki na zakup nowości. Tymczasem rzeczywistość skrzeczy. Księgozbiory bibliotek publicznych w 70% składają się z materiałów wydanych przed rokiem 1989. Mimo częstych selekcji znaczna część bibliotek nadal wygląda tak, jakby czas się w nich zatrzymał. Znam to uczucie, które ma czytelnik wchodzący do takiej księżnicy. Ręczę, że wolałbym, - zamiast przeciskać się pomiędzy zapchanymi nikomu do niczego niepotrzebnymi tomami ekonomii politycznej półkami - usiąść wygodnie w fotelu i w przestronnym wnętrzu wertować może ubogi, ale spełniający choć w części moje oczekiwania księgozbiór. Doprawdy nie rozumiem bibliotekarzy, którzy na moje sugestie o konieczności pilnej selekcji odpowiadają, że "przecież będzie świecić pustkami", a w następnym zdaniu próbują skłonić mnie do interwencji u organizatora w sprawie nowego lokalu dla biblioteki, "bo ten jest przecież już za ciasny".

Z premedytacją skupiłem się na zasobach tradycyjnych. Co bowiem wezmę do ręki branżowe czasopismo bądź najnowszą książkę o bibliotekach, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nowe media całkowicie opanowały umysły bibliotekarzy. Nie przeczę, że są ważne. Nie przeczę, że znaczna część czytelników poszukuje informacji na nowoczesnych nośnikach. Ale nie jest to większość. Pamiętajmy, że mówimy o bibliotekach publicznych. Ten przymiotnik zobowiązuje. Mamy być dla wszystkich. Musimy więc mieć wszystko - to, czego potrzebują nasi klienci (chyba, że inne, wyspecjalizowane jednostki systemu, znajdują się w pobliżu) i w takiej formie, która najbardziej im odpowiada, co oznacza zazwyczaj konieczność dywersyfikacji zasobu nie tylko pod względem zawartości, ale także formy. Rosnące wymagania czytelników raczej prędzej niż później zmuszą nas do przekształcania części naszych bibliotek w biblioteki hybrydowe, dostarczające część posiadanych informacji bezpośrednio na ekran komputera naszego klienta. Ale powtórzę - hybrydowe, nie wirtualne. Plotkę o rychłej śmierci książki w formie drukowanej powtarza się zapewne od czasów Gutenberga. To tylko plotka!

To co powiedziałem dotychczas nie wyklucza działalności nakierowanej na kształtowanie gustów czytelniczych. Często spotykam się z zarzutem, że biblioteki źle konstruują kolekcje, gdyż w zakupach dominuje raczej to, co aktualnie modne, niż to, co naprawdę wartościowe. Myślę, że mamy tutaj do czynienia z typowym przykładem myślenia życzeniowego. Są osoby, którym wydaje się, że sam fakt, iż w bibliotece jest jakaś książka spowoduje, że czytelnicy będą po nią sięgać. Bez odpowiedniego marketingu, bez reklamy, trudno jest dzisiaj znaleźć czytelnika. Nie każdy może jednak liczyć na marketing w stylu Harrego Pottera. Może więc biblioteki winny uprawiać własny marketing? Może warto pomyśleć chociażby o wydawaniu przewodników po nowościach wydawniczych? Nie ma sensu - w przypadku bibliotek publicznych - kupować wartościowych pozycji, po które nikt nie sięgnie. Zakup taki będzie miał sens, jeśli będziemy przekonani, że uczyniliśmy wszystko, by była to pozycja czytana.

Jeśli uznamy, że księgozbiory bibliotek publicznych winny obejmować pozycje odpowiadające zapotrzebowaniu środowiska, któremu biblioteka służy, to musimy się pogodzić zarazem z faktem wielowątkowości kolekcji, jej rozległości tak co do treści, jak i do formy. Rodzi to oczywiście ważne konsekwencje organizacyjne. Kolekcja taka musi być we właściwy sposób uporządkowana. Wprawdzie człowiek początku XXI przyzwyczajony jest do szumu informacyjnego, ale nie oznacza to, że mu z nim dobrze. Chęć posiadania wiedzy o tym, czy Jasir Arafat żyje, czy może już umarł, nie łagodzi podrażnienia wywołanego wielością wzajemnie wykluczających się informacji. Dla współczesnego człowieka biblioteka winna stanowić więc synonim porządku - dobrze wyselekcjonowanej i oznakowanej wiedzy.

Myślenie o zorganizowaniu kolekcji nie zamyka się na kwestii właściwego jej opracowania. To także:

- dopasowana do struktury czytelniczej struktura biblioteki (wypożyczalnie i czytelnie realizujące konkretne zapotrzebowanie czytelnicze),

- system informowania o zbiorach (wyspecjalizowane katalogi w formie umożliwiającej korzystanie z nich przez wszystkie grupy czytelników, nie tylko w bibliotece, ale także za pomocą Internetu),
- przyjazny czytelnikowi system informacji wewnętrznej (informatoria, komunikaty graficzne itp.),
- właściwa struktura zatrudnienia.

I tutaj w zasadzie dotykamy sedna problemu. Jeśli rzeczywiście biblioteka winna być placówką kultury, informacji i edukacji, to kim powinien być bibliotekarz? Animatorem? Infobrokerem? Nauczycielem? Wszystkim po trochu? Myślę, że w chwili obecnej nie jesteśmy w stanie dać jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. I dobrze. Każda biblioteka potrzebuje wielu różnych bibliotekarzy. Stąd konieczność kształcenia bibliotekarzy dziedzinowych. Ale rzetelnego ich kształcenia. Nie może być moim zdaniem tak, że za bibliotekarza dziedzinowego uznajemy każdego bibliotekarza, który przepracował w wyspecjalizowanej agendzie pewną ilość lat, zebrał pewną ilość doświadczeń i wziął udział w pewnej ilości konferencji. Tak dużo tutaj tych "pewnych", że pod znakiem zapytania postawić można, czy w ogóle wiemy o czym mówimy twierdząc, że stawiamy na bibliotekarzy dziedzinowych. Jeśli rzeczywiście na nich chcemy oprzeć funkcjonowanie naszych bibliotek, to zdecydujemy się najpierw na stworzenie systemu ich kształcenia i doskonalenia, a później systemu weryfikacji ich wiedzy oraz umiejętności tak, by zmobilizować ich do systematycznego doskonalenia zawodowego. Zresztą problem ten dotyczy nie tylko bibliotekarzy dziedzinowych - dotyczy nas wszystkich. Jeśli chcemy, by biblioteki spełniały oczekiwania społeczne, by nadążały za szybko zmieniającym się światem, to zainwestować musimy nie tylko w budynki, nowości wydawnicze, komputery i nowe media. Musimy zainwestować w ludzi!!! I musi być to inwestycja o charakterze systemowym.

Myślę, że najłatwiej zaprogramować proces podnoszenia kwalifikacji zawodowych bibliotekarzy korelując to zagadnienie z problemem awansu zawodowego. Stąd postulat stworzenia Systemu Awansu Zawodowego Bibliotekarzy. By było to możliwe koniecznym jest:

- rozważenie, czy nie należy zmniejszyć ilości stopni awansu zawodowego,
- określenie rodzaju wiedzy i kompetencji niezbędnych do awansu na kolejne stopnie zawodowe,
- określenie okresów prekluzyjnych dla awansu zawodowego, których przekroczenie groziłoby rotacją z instytucji,
- zbudowanie systemu kształcenia ustawicznego bibliotekarzy,
- zbudowanie systemu weryfikacji kompetencji bibliotekarzy.

Prace nad zbudowaniem takiego systemu już się rozpoczęły. Za ich początek uznaję rozmowy w trójkącie: Konferencja Dyrektorów Wojewódzkich Bibliotek Publicznych - Centrum Edukacji Bibliotekarskiej Informacyjnej i Dokumentacyjnej - Narodowe Centrum Kultury. Myślę jednak, że wymagają one szerokiej, środowiskowej dyskusji. Dyskusji, która zakończy się stosowną legislacją. Bo w realiach III Rzeczypospolitej musimy opierać się na jasnych przepisach prawa. Niestety - wizja bibliotekarza, z jaką spotykam się wśród działaczy samorządowych, to wizja człowieka podającego książki. Efektem jest próba upchnięcia w bibliotekach wszystkich tych, którym trudno poradzić sobie na wymagającym rynku pracy. "Bo przecież podawać książki potrafi każdy". Brak rzetelnie opracowanego oraz gwarantowanego prawnie systemu awansu zawodowego bibliotekarzy, to obok niedostatków samego systemu szkolnictwa zawodowego, najprostsza droga do zapaści polskiego bibliotekarstwa publicznego.

Truizmem będzie stwierdzenie, że przed bibliotekami publicznymi w Polsce na początku XXI wieku stoją olbrzymie wyzwania i że by móc tym wyzwaniom sprostać biblioteki muszą się

modernizować (dotyczy to tak infrastruktury, jak metod pracy). Bo przed bibliotekami zawsze stały wielkie wyzwania i zawsze powodowały one konieczność zmian. Biblioteka, jako zjawisko kulturowe o fundamentalnym dla rozwoju społecznego znaczeniu, mimo swej powierzchownej statyki, zawsze była zjawiskiem dynamicznym. Tym niemniej nasze czasy mają swoją cechę szczególną. Jest nią szaleńcze tempo zachodzących zmian. I raczej nie ma powodu przypuszczać, by tempo to miało z jakichś przyczyn w najbliższym czasie osłabnąć. Powiem więcej. Wszystko wskazuje na to, że będzie ono rosło. Jeśli tak, to nie wystarczy nam już dostosowywanie się do rytmu, w jakim rozwija się świat. Świat, którego tak ważny element stanowimy. Zmiany, jakie należy przeprowadzić w polskich bibliotekach publicznych powinny uczynić z nich instytucje potrafiące elastycznie odpowiadać na coraz to nowe wyzwania. Musimy więc myśleć z wyprzedzeniem. Przewidywać kierunki, w jakich podążać będzie ludzkość, a jednocześnie dbać o to, co stanowi fundament naszej kultury. By było to możliwe musimy oprzeć zmiany o charakterze systemowym na ludziach. Być może winniśmy więc naprawdę rozpocząć debatę, której centrum stanowić będzie pytanie: "co to znaczy być bibliotekarzem na początku XXI wieku"?